



Kopysno w opowieści

Część I

Czytając opowieść pamiętaj, że jej tekst nie został poddany zewnętrznej korekcie i redakcji, lecz mimo niedoskonałości, autor zgodził się ją opublikować i chętnie przyjmie wszelkie uwagi i spostrzeżenia, które należy kierować na adres:

kopysno@kopysno.pl

Opisane wydarzenia, poza wyjątkami znanymi autorowi, nigdy nie miały miejsca i choć występują w nich osoby, które rzeczywiście istniały, zamieszczone opowiadania powstały jedynie w jego wyobraźni i są fikcyjne.

Pracę tę poświęcam swoim dziadkom i rodzicom, bez których nigdy nie powstałyby opowieści z Kopysna.

Autor

Człowiek na dworze cesarza Franciszka Józefa I

Galicja pod zaborem austriackim. Kopysno i okolice, 1822 rok.

Kopysno powstało przed narodzeniem króla Władysława Jagiełły, który w podzięce za wierną służbę, według zachowanego oryginalnego dokumentu, nadał w 1408 roku swemu rycerzowi Józefowi (Osip) Bieduniowi tę wieś wraz z cerkwią, dworzyszczem (dworem) zwanym Bodnarskie pod grodem (grodziskiem), lasem Strączyna i łąkami Mochowisko Małe i Duże, żeby służyły dworzyszczu (dworowi).

Mikoła mieszkał obok cerkwi pod wezwaniem Pokrowy Matki Bożej w małej drewnianej chacie, którą zbudował jego ojciec i obok której stała obora i stodoła, a za nią ulokowana w ziemi także nieduża kamienna piwniczka, w której przetrzymywano przetwory na zimę i trunki.

Późnym wieczorem Mikoła postanowił zajrzeć do jej zasobów, lecz zdążył jedynie przekręcić klucz w zamku, gdy wpadł na niego zdyszany stajenny Iwasyk.

- „Mikoła, trzeba jechać do miasta po doktora, pani nie może urodzić... zaprzęgaj konia, nie ociągaj się!” – stanowczym tonem niczym surowy rządca, Iwasyk zwrócił się do Mikola, co mu wyraźnie nie spodobało się.

- „A idź ty w czorty, jak mam powozić, gdy ledwo mogę poruszać palcem u nogi, który mnie boli” – rzekł zirytowany Mikola, nieco przesadzając o stanie swego zdrowia.

Kilka dni wcześniej będąc w lesie Grabnik, gdzie zatrzymawszy bryczkę musiał iść za swoją potrzebą, z radości niechcący kopnął wystający z ziemi martwy pniaczek, pod którym mieściło się gniazdo os, i tylko dzięki szybkości jaką nabrał uświadomiwszy sobie czego dotknął, spuchł mu tylko jeden palec od ukąszenia owada. Nie wyglądało to jednak groźnie.

Mikola nieco obruszony formą wypowiedzi, ostentacyjnie zamknął piwniczkę i udał się z Iwasykiem w kierunku dworu, do którego z łatwością dotarli idąc utartą ścieżką prowadzącą od cerkwi i mijając z prawej strony Horbysko.

Warto dodać, iż dwór znajdujący się u stóp Kopystanki, otoczony drzewami był niewidoczny od strony wsi. Nie znając topografii terenu i chcąc dotrzeć do dworu od strony Rybotycz należało za lasem Grabnik odbić w stronę najwyższego wzniesienia i widząc przed sobą Horbysko, mocno skrócić w lewo.

Mikola wyprowadził ze stajni konia, na którego zawsze mógł liczyć, zaprzągnął go do bryczki i wyruszył w drogę do

miasta Rybotycze, gdzie zatrzymał się dopiero przed domem doktora, którego miał zabrać w trybie pilnym do dworu w Kopysnie.

Doktor Suchorzepka, jedyny w tej okolicy, kształcił się w Wiedniu i doskonale znał swój fach, lecz pomimo propozycji pracy w dużym mieście, postanowił pozostać w Rybotyczach. Gdy koledzy ze studiów wytykali mu, że siedzi na prowincji, zawsze podkreślał, że chorzy są wszędzie, a on nie może wybierać osób, które ma leczyć.

Doktor posiadał niewielki domek po prawej stronie drogi prowadzącej z Rybotycz do Kopysna, poniżej miejsca, gdzie przecina ją potok Kamienny, który często wylewa o tej porze roku, co nie przeszkadza doktorowi dalej w nim mieszkać.

Trzeba wyjaśnić, iż podczas nadmiernego wylewu wód potoku nagromadzone kamienie i osady tworzą przeszkodę, przez którą mało który zaprzęgnięty w konie pojazd jest w stanie przedrzeć się na drugą stronę niewinnego wydawałoby się potoczku.

Między innymi z tego powodu hrabia Tyszkowski bardzo rzadko odwiedzał dwór w Kopysnie, który nigdy nie należał do szczególnie okazałych, a miał ich nieco w ziemi przemyskiej.

Ogrodzony drewnianym płotem, do którego prowadzą dwuskrzydłowe drewniane wrota przykryte drewnianym daszkiem, zbudowany był z drewna, na fundamencie

kamiennym i krytym gontem¹, a składał się z przedsionka i pięciu izb. W jednej z nich znajdował się prosty wylepiony gliną komin, a przy nim stał piec kaflowy i dwie drewniane ławy. W innej izbie ulokowana była piekarnia, w której mieścił się gliniany piec oraz ława. Obok dworu znajdował się spichlerz kryty gontem oraz obora opleciona chrustem, a także gumno² wraz z szopą oplecioną chrustem, na słupach, i pokrytą częściowo gontem i słomą.

Niedaleko obory była też stajnia, która wyróżniała się spośród innych budynków ze względu na zarządcę, który bardzo kochał konie, a miał ich trochę. Widząc jak Mikołaj je traktuje, a zwłaszcza kupionego za dużą kwotę na jarmarku w Mościskach Bułana, pozwolił mu by mógł z nim przebywać według jego uznania poza dworską stajnią.

Od południowej strony dworu ulokowano także nieduży staw, wokół którego rosły wierzby płaczące, których gałęzie pochylone w stronę lustra wody widocznie w geście szacunku dla gości odwiedzających dwór w Kopysnie, kłaniały się im pokornie.

¹ Drewniane deseczki o przekroju klina, z wpustem wzdłuż dłuższej krawędzi, łączone ze sobą poprzez ich wsunięcie w drugą.

² Budynek, w którym składało się zboże przed wymłóceniem.

Doktor Suchorzepka usłyszawszy wiadomość o problemach z urodzeniem dziecka pani Agnes, o nic nie pytał. Zajrzał do swojej lekarskiej skórzanej torby, sprawdził czy wszystko jest na miejscu i narzuciwszy na siebie w pośpiechu płaszcz, wsiadł do bryczki.

Ukochany koń Mikola nigdy nie miał problemów z dotarciem z Kopysna do miasta Rybotycze i odwrotnie. Niejeden raz pokonywał trudny odcinek drogi bez większego wysiłku, i tym razem ciągnął bryczkę z Rybotycz po nierównej drodze biegnącej po stromych wschodnich zboczach wzniesienia nad potokiem Kamiennym jakby wiedział, że musi zawieźć doktora Suchorzepkę do dworu na czas.

- „Wio Bułan, worek owsa mam dla ciebie w stajni” – Mikola szarpnąwszy lekko lejce, zwracał się co jakiś czas do swego konia z charakterystycznym zawołaniem będąc przekonany, że zachęci to jego wiernego przyjaciela do większego wysiłku i szybko dotrą do dworu, gdzie ich oczekiwano od kilku godzin.

Mikola rzadko używał bata. Wolał mówić do swego konia, gdyż wierzył, że jego słowa zostaną przez zwierzę zrozumiane bez potrzeby jego użycia, traktując bat jako atrybut woźnicy, a nie przedmiot władzy i nacisku.

Mikoła nie krzyczał też na Bułana, bo wiedział, że przyniesie to odwrotny od zamierzonego skutek, czego wcześniej doświadczył, o czym warto wspomnieć.

Żona Mikola jak zwykle, gdy świeciło słońce, rozwieszała obok chaty swoje pranie. Gdy tylko odeszła, ktoś złośliwie zrywał ze sznurka rzeczy w kolorze czerwonymi i je przygniatał do ziemi, co ją bardzo irytowało.

Mikoła także miał tego dosyć i postanowił poznać sprawcę, więc zaczął się na niego i cierpliwie czekał za chatą. Bardzo się zdziwił, gdy do wiszącej czerwonej chusty podszedł jego ulubieniec, który zdjawszy ją zębami, rzucił na ziemię depcząc kopytami.

Mikoła oburzony tym co zrobił Bułan, głośno go skarcił, przez co sprawił, że koń nie miał ochoty przebywać w jego towarzystwie i udając się do pobliskiego sadu, skutecznie przed nim ukrył się.

Mikoła długo szukał swego przyjaciela, aż dostrzegł go za gęstymi krzewami, gdyż zdradziła go gęstwa grzywa. Podszedł i zaczął do niego coś mówić, lecz koń nie reagował, więc wyjął z kieszeni garść cukru i podsunąwszy pod jego pysk, delikatnym głosem przemówił do niego.

Bułań widocznie uznał jego zachowanie za akt przeprosin i wyszedłszy z ukrycia, dał się poprowadzić do dworskiej stajni.

Mikoła był tego dnia zmęczony i chciał wreszcie odpocząć, a jazda po zmroku do Rybotycz zupełnie mu nie odpowiadała. Tego samego dnia wysłano go bardzo wcześnie rano do tego miasta po minogi dla niejakiego Ilka z Brna, który był ich smakoszem.

Ilko był serdecznym przyjacielem Samuela, z którym studiował prawo na Uniwersytecie we Wiedniu i przez lata wynajmował mieszkanie w dzielnicy Leopoldstadt przy Negerlegasse nad Dunajem, więc nie wypadało go nie ugościć.

Ilko niezapowiedzianie przybył do dworu w trudnym dla Samuela i Agnes czasie, a przy tym nie stroniąc od gorzałki, potrafił sprawiać kłopoty z powodu kobiet bez których, jak twierdził, jego życie nie ma sensu. Gdy któraś w jego otoczeniu spodobała się mu, nie przyjmował do wiadomości tego, że może nie być nim zainteresowana. Będąc pod wpływem alkoholu ignorował jej zdanie stając się wobec niej natrętny, co wzbudzało oburzenie i niesmak.

Na szczęście we dworze nie było kobiet, które mogłyby wpaść Ilkowi w oko, więc skupił się na piciu i dobrym

jedzeniu, stąd też pomysł z minogami, po które wcześniej rano musiał udać się Mikola.

Świeże minogi na dwór mógł dostarczyć jedynie Anuś z Rybotycz, wielki łowca niczym Artemida, od której różniła go nie tylko płeć, lecz także skromność i skrytość swojej pasji.

Anuś, a właściwie Marian, kiedy wszyscy jeszcze smacznie spali, ustawiał pułapkę w zakolu Wiaru niedaleko stromej skały, z której z wysokości spadały wody potoku do rzeki.

Do pułapki wrzucał nieznaną nikomu przynętę, która wabiła minogi i o której nie chciał za bardzo mówić. Ciekawskich zbywał opowieścią, że kupił ją podczas jarmarku w Dobromilu w dniu św. Anny, u jakiejś kobiety wyróżniającej się obfitością biustu i sprzedającej kiszzone ogórki z dębowej beczki, co jak podkreślał, bardzo go zainteresowało z powodu ich nadzwyczajnej długości i jędrności.

Anuś przesiadując w karczmie u Salika, gdzie zmęczeni pańszczyzną chłopci spożywali gorzałkę, i chcąc w ten sposób odwieść ich od poszukiwania przynęty na minogi, barwnie opisywał walory cielesne kobiety z jarmarku, co nie uszło uwadze pewnego Żyda, który zamierzał wykorzystać rynkową niszę licząc na to, że odkrywając sekret obfitych połowów minogów, zrobi na tym niezły interes. Warto też wspomnieć, że

barwne opowieści Anusia sprzyjały darmowemu spożyciu przez niego gorzałki, której mu nie odmawiano licząc na to, że zdradzi swoje sekrety. Wypity przez Anusia alkohol mimo ich ilości, nigdy nie doprowadził do ujawniania przez niego tajemnic wędkarskich.

Żyd Mendel, bo tak miał na imię, przysłuchując się w karczmie opowieściom Anusia, na początku sierpnia postanowił udać się na coroczny, długi jarmark, jaki odbywał się w Dobromilu, gdzie pierwszą spotkaną kobietę, która przypominała mu osobę z opowiadań o minogach zapytał, czy ma do sprzedania przynętę na te stworzenia.

Nie mogąc wyjaśnić jej, jakie rzeczne stworzenie ma na myśli, a był już w natchnieniu jakie zapewnił mu niejaki Moryc w swej karczmie racząc go szklaneczką gorzałki, odchyliwszy swój chałat wskazał na miejsce, które według niego winno się z nim kojarzyć. Niestety nie został właściwie zrozumiany i przyjmując na twarz mocne uderzenie nieuzbrojoną ręką na oczach licznych jarmarcznych gapiów, doznał nie tylko cielesnego uszczerbku, lecz także zrezygnował z uruchomienia interesu z minogami.

Należy wyjaśnić, iż zainteresowanie tymi stworzeniami w okolicy było niewielkie, a w postaci smażonej jedzono je tylko na dworach, bo okoliczni chłopci z powodu podobieństwa

do gadów, patrzyli na nie z obrzydzeniem. Nawet niegroźny zaskroniec, gdy czasem zawitał do ziemnej spiżarni i ulokowawszy się na kamieniach stanowiących jej sklepienie, by zażyć słońca, odganiany był szybko brzoźową miotłą niczym intruz.

Kilka razy Mikola zatrzymywał bryczkę, by dać złapać oddech Bułanowi, co mu należało się. Doktor siedząc otulony kocem jedynie mrucał coś pod nosem, lecz nie miał odwagi skarżyć się na trudy podróży, choć co jakiś czas musiał poprawiać torbę z narzędziami i medykamentami, która podskakiwała na każdej nierówności, co czyniło w niej nieporządek, którego bardzo nie lubił.

Kiedy wszyscy pokonali stromy podjazd, a w oddali było widać Grabnik, Mikola lekko szturchnął batem Bułana, by go pośpieszyć zwłaszcza, że przed nimi był prosty odcinek drogi, co musiało się wiernemu zwierzęciu spodobać, bo ruszając z kopyta nie miał zamiaru przystawać.

Towarzyszący jeździe podmuch powietrza ożywił nagle doktora, który musiał ratować swe odzienie, by je nie stracić. Opatulił się jeszcze bardziej i tylko westchnął, licząc na to, że wkrótce dotrze na miejsce przeznaczenia.

Pełen tajemnic las Grabnik podróżujący bryczką minęli bez przeszkód, a doktor, osoba spostrzegawcza i dociekliwa, zwrócił uwagę, że na Mochowisku ktoś pali duże ognisko, z którego łuna bije nawet do Pikulca, i próbował znaleźć wyjaśnienie tego zdarzenia, ale widocznie zmęczony jazdą, nie chciał kontynuować tego tematu.

Za Grabnikiem Bułan nie reagując na polecenia Mikola, nagle skręcił w lewo i wjeżdżając przez otwarte na oścież wrota zatrzymał się przed dworem, jakby znał wcześniej cel podróży.

Dwór Tyszkowskiego, którym zarządzał Samuel znajdował się na małym pagórku, na łagodnym zboczu Kopystanki, nieco poniżej niedużego wzniesienia nazywanego Horbyskiem, gdzie okoliczna ludność wierzy, że jest na nim pochowany ich duchowny, sławny biskup Michał Kopystyński, który nie mając zaufania do papieża nie chciał podlegać jego władzy, odrzucając postanowienia tzw. Unii Brzeskiej, przez co miał później problemy.

Doktor Suchorzepka trzymając mocno w rękach skórzaną torbę lekarską, szybko zszedł z bryczki i nieco pobrudzony w czasie jazdy błotem odrywającym się od jej kół, próbował go strzepać z płaszcza, lecz nagle zrezygnował i zdecydowanym krokiem wszedł do przedsionka dworu, gdzie powitała go ze łzami w oczach Michasia Hamryszczak, znana w okolicy

i bardzo szanowana akuszerka, do której dołączyła też Nastka Czyżowska, która opiekowała się panią ze dworu.

W jednym czasie rzekły „Ratuj pan...”, a spojrzawszy na siebie, zamilkły. Wtedy Michasia zaczęła kontynuować swoje prośby, kierując je w stronę doktora.

- „Panie doktorze, pani Agnes ma problem z powodu ułożenia główki dziecka, a ja nie mogę jej pomóc..., tylko Pan może ją uratować.” – zwróciła się z błaganiem Michasia.

Samuel stojący obok akuszerki i zagryzając z nerwów paznokcie, wyraził jedynie życzenie, żeby doktor sprawił, by jego żona mogła urodzić jego pierworodnego.

Doktor skinąwszy głową, niczego nie obiecując, zażyczył sobie miednicę z gorącą wodą i czyste prześcieradła, a wchodząc do izby, w której ujrzał na łożu wijącą się z bólu rodzącą, stanowczym głosem rzekł, by nikt mu teraz nie przeszkadzał.

Czas mijał, lecz wkrótce nadeszła wiadomość, na którą wszyscy czekali. Nagle otworzyły się na oścież drzwi i stanął w niej doktor Suchorzepka, a na jego zarośniętej twarzy, pełnej potu przyklejonego do włosów niczym rzęsiste krople wiosennego deszczu, widniał obraz zwycięzcy, a radosne słowa „Ma pan syna” w oczach Samuela znaczyły więcej niż wygrana

na loterii we Lwowie. Nie wiedząc jak się zachować, Samuel zażyczył sobie nalewki z derenia i nie doczekawszy się na wzmacniający trunek, nagle z wrażenia osunął się na podłogę.

Agnieszka w trakcie porodu straciła dużo krwi i choć wszyscy ją wspierali jak tylko mogli, nie mogła szybko dojść do zdrowia. Nie opuszczała łoża i ledwo dawało się ją karmić, zmuszając do przełknięcia pokarmu.

Samuel próbował nawiązać kontakt z żoną i każdego ranka pytał ją „Agnes, Agnieszko... mamy syna... jak damy mu na imię?”, lecz na próżno czekał na odpowiedź.

Żona Samuela zmęczona trudami porodu nie potrafiła wymówić żadnego słowa, usta jej drgały, a oczy choć chciały coś powiedzieć, wpatrzone w jakiś jeden punkt na ścianie izby, nie były w stanie dotrzeć do jej męża.

Nastka Czyżowska dwoiła się i troiła, by pomóc swej pani, i w końcu przy pomocy ziół zbieranych na Mochowisku, które tylko ona potrafiła rozpoznać i odpowiednio przygotować, a także warzyw rosnących na zagonie przy dworze, zdrowie Agnes zaczęło się poprawiać, a pewnego dnia nastąpił przełom. Agnieszka nabrała sił i mogąc wreszcie kontaktować się z innymi, w pewnej chwili ku zaskoczeniu Samuela, który

czuwał przy niej każdego dnia, zmęczonym głosem wyrzekła pierwsze od porodu słowa - „Walerian, tak nazwiemy syna.”

Samuel wielce tym zaskoczony odpowiedział: „Tak Agnes, niech będzie tak, jak tego pragniesz... .”

Kiedy słońce opuszczało wieś chowając się za Kopystanką, na dworze z niecierpliwością czekano na Samuela, który udał się rankiem do proboszcza w Rybotyczach, by załatwić spóźniony chrzest jego syna Waleriana.

Już od Grabnika było słyszeć jakieś dziwne odgłosy pochodzące z bryczki, którą podróżował Samuel, jakby ktoś zapomniał posmarować osie jej kół przed wyjazdem.

Odgłosy te znikły, gdy bryczka skierowała się w stronę dworu. Mikola wjeżdżając na podwórko zatrzymał pojazd, a wtedy z niej wyskoczył Samuel trzymając w ręku litr gorzałki, którą po wizycie u księdza Jakuba kupił w karczmie u Salika w Rybotyczach.

Niestety, wiadomości jakie usłyszał od proboszcza nie były dla nikogo radosne. Ksiądz z Rybotycz będąc zajęty przygotowaniami do jakiejś imprezy u grekokatolickiego księdza, nie chciał z nim za bardzo rozmawiać, a jego prośbę o chrzest dziecka zbył tym, że niewiele wie o tym fakcie i nie ma odpowiednich dokumentów z parafii rodziców dziecka.

Samuel nie chciał prosić na kolanach duchownego i odstąpił od uregulowania statusu prawnego swego syna, choć miał świadomość, że bez chrztu będzie miał on w życiu problemy.

Kilka łyków gorzałki zakupionej w karczmie sprawiło jednak, że kwestia chrztu syna przestała dla niego mieć jakiegokolwiek znaczenie, choć wcześniej nie miał w zwyczaju w ten sposób rozwiązywać swoich problemów. Chwiejącym się krokiem wszedł do izby i padł na łóżko nie wypuszczając z rąk butelki, i tak zasnął.

Agnieszka widząc męża w takim stanie podeszła do niego i wyjmując mu z rąk prawie pustą butelkę gorzałki, odłożyła ją na bok i zdjawszy mu obuwie i wierzchnie odzienie przykryła go kocem, życząc mu na odchodne miłych snów.

Minęły prawie dwa lata od pojawienia się na świecie Waleriana, syna Agnieszki i Samuela. Nie był to jednak dobry czas dla tej rodziny.

„Szanowny Panie... dziękuję za zarządzanie moim majątkiem... ale mam inne plany co do Kopyśna... i wyznaczam Panu termin na opuszczenie moich włości na dzień... . Wszelkie rozliczenia przeprowadzi z Panem mój nowy zarządca Józef Ch.... Z szacunkiem, hrabia Wincenty Tyszkowski”.

List ten Samuel otrzymał przez posłańca wczesnym rankiem, ale go nie przeczytał, gdyż wołał najpierw obejrzeć postęp prac przy budowie stawów karpiowych niedaleko cerkwi.

Widząc doskonale wykonane groble, bardzo się ucieszył z tego czego dokonali bracia Hryć i Dmytro Krupowie. Wypada dodać, że Krupów w Kopysnie było wielu, i każdy miał jakiś przydomek, by odróżnić ich od siebie.

Samuel wracając pieszo do dworu, w wyobraźni widział napelnione wodą z pobliskiego potoku Kamiennego duże stawy, w których w blasku słońca pluskały się ławice dorodnych karpi królewskich i w duszy marzył o rybnej galaretce.

Danie to przyrządzała mu jego kucharka, na którą wołali Kaśka, a która pochodziła z pobliskiej Koniuszy. Czyniła to doskonale poświęcając wybornemu daniu dużo czasu, bo z ugotowanego mięsa dokładnie wyjmowała wszystkie ości, by jej pan nie udławił się. Dzięki temu Samuel jadł galaretkę bez chleba, tak mu zawsze smakowała.

W podzięce za to, za każdym razem, po powrocie z Dobromila, czy Przemyśla, przywoził jej drobny prezent, lecz wręczał go ukradkiem, by nie czynić rozgłosu, gdyż miał ku temu powody. Dziewczyna była bardzo atrakcyjna, miała

piękne piwne oczy otoczone wyraźnymi czarnymi rzęsami oraz gęste czarne włosy, i choć nosiła zwiewne odzienie, widać było, że ma pod nim jędrne piersi i pośladki, które wzbudzały pożądanie u wielu mężczyzn.

Samuel kochał swoją Agnieszkę i nie w głowie mu był dworski romans.

Radość z rozpoczętej budowy wyczekiwanego od lat stawu, zgasił Samuela list hrabiego Tyszkowskiego. Nie był jednak nim zbyt zaskoczony, gdyż wiedział, że właściciele ziemscy często szafują swoimi dobrami i sprzedają je bez namysłu lub powierzają wybranym osobom, więc liczył się z tym, że kiedyś to nastąpi.

Samuel zakochał się w Kopysnie od samego początku, kiedy tylko przyjął obowiązki zarządcy dóbr Tyszkowskiego. Przekonał się, że miejsce to sprawia, że każdy kto odwiedzi je tylko na chwilę, chciałby boso, po rosie, przemierzać łąki Mochowiska i towarzysząc rojom pszczoł i trzmieli wachać kwiaty, których barwne i bogate odzienie zmusza do refleksji nad sensem życia. Każdy chciałby też wejść do Grabnika i szukać wśród drzew, borowików i kozaków, a przekraczając las w kierunku Sosenek nazbierać tam maślaków i rydzów... a wracając w kierunku Kopystanki, stanąć na jej szczycie napawając się pięknem niepowtarzalnego krajobrazu.

Samuel bardzo lubił przesiadywać na ławeczce przed stawem obok dworu, zwłaszcza wtedy, gdy podczas wiosennej wieczornej scenerii żaby popisywały się swoimi głosami tworząc swoistą harmonię dźwięków natury.

A kiedy lipy zaczęły obdarzać wszystkich aromatem kwiatów, zabierał z dworu bujany fotel i siadał pod jedną z nich, rosnącą tuż przy stawie, i długo rozmyślał, co niepokoiło Agnieszkę, która zastanawiała się, czy czasem nie zauroczył się jakimś wiejskim dziewczęciem, których nie brakowało.

Niejedna dziewczka chętnie dałaby się uwieść, by tylko zjednać sobie pana i korzystać z jego finansowego wsparcia, na co wielu możliwych godziło się, bo doskonale wiedzieli, że korzystając z przyjemności obcowania z młodą i urodziwą dziewczyną, nie będą musieli się z nią żenić, a tym bardziej dzielić swym majątkiem, choć różnie to bywało.

Samuel był dobrym zarządcą i szanował swoich poddanych, za których wstawiał się, gdy zaszła potrzeba. Pomimo wypowiedzenia umowy, nie obawiał się, że pozostanie bezrobotnym.

W zanadrzu miał już inne zajęcie, które miało pozwolić mu utrzymać rodzinę, i gdy tylko minął czas na opuszczenie dworu

w Kopysnie, udał się do Grodowic, niedaleko Stryja, gdzie przejął zarząd nad majątkiem hrabiego Sułkowskiego.

Kto dobrnął do końca opowieści zapyta, gdzie w niej mowa o człowieku z Kopysna będącego na dworze cesarza Franciszka Józefa I?

On w tej opowieści dopiero narodził się, a dalsze losy Waleriana, syna Agnieszki i Samuela wymagają czasu, by przedstawić je dokładnie.